*– KRAKÓW –*

Marysia zamknęła klapę laptopa i uniosła ręce nad głowę. Na kilka sekund przymknęła oczy i przeciągnęła się niczym kot, a potem, bujając się przez chwilę w swoim wygodnym, ergonomicznym fotelu, miała ochotę podobnie jak kot zamruczeć z zadowolenia na myśl o sumiennie wykonanym zadaniu i czekającym ją spotkaniu, które miało być idealnym prezentem mikołajkowym i nagrodą za trud ostatnich dwóch tygodni. Dziewczyna zamrugała, by odrobinę nawilżyć zmęczone oczy, następnie wstała, podeszła do okna i spoglądając na ośnieżone dachy kościoła Świętego Józefa na krakowskim Podgórzu, rozpuściła zebrane w węzeł włosy. Kilka razy przesunęła dłonią po burzy miedzianych loków, wiedząc, że nie będzie marnowała czasu na ujarzmianie nieposłusznych pasm, które niezależnie od tego, ile czasu wkładała w ich układanie, wracały do swojej nieokiełznanej formy. Jako dziewczynka nienawidziła barwy i struktury swoich włosów, które zdawały się złośliwym przeciwnikiem, jednak z czasem pogodziła się z ich naturą, a nawet je polubiła, zwłaszcza kiedy słyszała z ust bliższych i dalszych znajomych, że jej fryzura przywodzi na myśl Julię Roberts w *Pretty woman*.

Dziewczyna sięgnęła po leżący na łóżku oliwkowy sweter z motywem liska i włożyła go, otulając się ciepłem żakardowej tkaniny. Odnalazła leżącą na starej toaletce czerwoną szminkę i pochylając się w kierunku lustra, szybko pomalowała usta, a potem wrzuciła pomadkę do kieszeni i ruszyła w kierunku drzwi. W progu zatrzymała się i wróciła do toaletki, by w pośpiechu skropić nadgarstki swoimi ulubionymi perfumami. Podniosła do nosa przeguby pachnące *Mademoiselle* Coco Chanel i przeciągnęła nimi po szyi, zostawiając na skórze nutę aromatu. Zabrała telefon komórkowy i z zadowoloną miną opuściła swój pokój, a potem zbiegła po drewnianych schodach, pokonując odległość od strychu, poprzez pierwsze piętro, aż do parteru. Przemierzyła hol i weszła do dużej jadalni, która w tej chwili przypominała artystyczny warsztat pracy. Na stole zauważyła różnej wielkości szklane pojemniki wypełnione goździkami, gwiazdkami anyżu, laskami cynamonu, suszonymi kwiatami i różnobarwnymi ziołami, obok nich stały fiolki zawierające olejki eteryczne, a nieco dalej leżały delikatne sznury i drewienka mające służyć zapewne za knoty. Z boku stało kilkanaście niewielkich pustych słoiczków.

Marysia podeszła do starszej pani stojącej przy kuchence, na której był spory garnek do topienia wosku. Cmoknęła ją w policzek.

– Hej, babciu! – zawołała. – Widzę, że zabrałaś się za robie­nie świec.

Siwowłosa kobieta dmuchnęła w kierunku opadającego na oczy kosmyka włosów i poprawiając fartuch w folkowe wzory, objęła wzrokiem swoje stanowisko pracy.

– Przecież mamy szóstego grudnia. To już taka moja mikołajkowa tradycja. – Uśmiechnęła się i pokiwała głową, a w uszach zakołysały się kolczyki w kształcie ważek o skrzydełkach udekorowanych różowym agatem. – Masz ochotę mi pomóc?

– Wiesz, że bardzo bym chciała, ale nie mogę. Za chwilę wychodzę na dworzec. Przyjeżdża Antek! – wyjaśniła podekscytowana Marysia. Musiała się opanować, by nie podskoczyć z radości. – Pamiętasz? – upewniła się.

Starsza pani spojrzała na nią z miłością.

– Pamiętam – zapewniła. – A jeślibym zapomniała, to blask twoich oczu przypomniałby mi, że to dzisiaj. Błyszczą jak gwiazdy tylko wtedy, kiedy on ma się pojawić lub gdy jest obok ciebie. Nie dziwię się. Nic tak nie podgrzewa uczuć jak rozłąka.

– Oj tak – zgodziła się Marysia. – Chociaż mam już dość tej rozłąki, tęsknoty i czekania. Chciałbym, by był przy mnie cały czas.

Babcia przechyliła głowę.

– A on, zdaje się, chciałby tego samego, więc w czym rzecz?

– Nie, babciu, on chciałby, żebym to ja była przy nim przez cały czas… Na tym polega problem.

– Jaki problem? Jeśli chcecie być razem… Jeśli się kochacie…

– Kochamy się i chcemy być razem – zapewniła dziewczy­na. – Chodzi o miejsce na ziemi. Moje miejsce na ziemi, jego miejsce na ziemi, nasze miejsce na ziemi… Nie możemy dojść do porozumienia. To bardzo trudne i męczące… Nie zostawię Krakowa, a on… – westchnęła cicho – on nie zostawi gór. Gu­bimy się w tym wszystkim. Czasem mam wrażenie, że tkwimy w labiryncie bez wyjścia. – Na kilka sekund opuściła głowę i skuliła ramiona, jakby poczuła ogromne zmęczenie.

Babcia wytarła dłoń w fartuszek, dotknęła policzka wnuczki i pogłaskała delikatnie.

– Nie martw się. Miłość znajdzie drogę. Dogadacie się.

Marysia zamrugała szybko, próbując odegnać złe myśli.

– Masz rację – przyznała. – Dogadamy się. Ale wiesz co? Nie będę dzisiaj nawet o tym myśleć. Nie będę – powtórzyła pewnie. – Pomyślę o tym jutro.

– I bardzo słusznie – rzekła babcia. – Niczym Scarlett O’Hara z *Przeminęło z wiatrem*. To było jej powiedzenie: „Nie będę o tym dzisiaj myśleć, bo zwariuję. Pomyślę o tym jutro” – zacytowała i uśmiechnęła się. – Mamy wyjątkowy dzień. Ciesz się mikołajkowym wieczorem z Antkiem. Wszystko się ułoży i coś wymyślicie. Będzie dobrze – zapewniła.

Marysia sięgnęła po jedną z fiolek z olejkami eterycznymi i spojrzała na etykietkę.

– Lawenda – przeczytała. – A może przy okazji produkcji tych świec wyczarowałabyś dla mnie jakiś specyfik, który mogłabym podarować Antkowi? Coś, co sprawiłoby, żeby mnie posłu­chał i przeniósł się do Krakowa? – zapytała wesoło.

Babcia uśmiechnęła się.

– Czary? Eliksiry? Aż tak dobra nie jestem. Niestety nie uczęszczałam na zajęcia profesora Snape’a. – Puściła oczko. – Nie mam takiej mocy. Wystarczy jej tylko na trochę aromatycznych świec, ale obiecuję, że dostaniesz do pokoju najładniejszą i najpiękniej pachnącą. – Zerknęła na duży zegar wiszący nad kominkiem. – Ale żeby spełnić tę obietnicę, muszę się w końcu brać do roboty – uznała. – Zupełnie straciłam poczucie czasu! Uciekło mi dzisiaj kilka godzin. Zasiedziałam się u Basi w kwiaciarni. Jest taka szczęśliwa! Wiesz, ciągle przeżywa ten awans Michała, opowiada, świergocze, aż chce się jej słuchać. Miła odmiana po ostatnich miesiącach, gdy nieustannie chodziła przygaszona. Dzisiaj jest niczym skowronek. A mi kamień spadł z serca. Wiem, że Michał ostatnio był nie do wytrzymania, miałam ochotę nakręcić mu uszy, chociaż i tak by nie posłuchał starej matki. Zawsze uparty, ambitny, nieprze­jednany. Doprawdy nie wiem, jak moja synowa daje z nim radę.

– Wujek jest świetnym facetem, może rzeczywiście trochę twardym, ale przecież inaczej nie może, tak funkcjonuje jego świat. Jemu też z pewnością kamień spadł z serca. Cieszę się ich radością. A do cioci zajrzę po drodze i pogratuluję – uznała Marysia. – Jeszcze raz przepraszam, że nie pomogę ci przy świecach. Widzę, że jak zawsze zamierzasz ich zrobić całą masę.

– Nie inaczej – potwierdziła babcia.

– I jak zawsze większość rozdasz. – Uśmiechnęła się dziewczyna.

– Oczywiście. Cóż to by była za przyjemność, gdybym zatrzymała je dla siebie? I nie martw się, ta praca sprawia mi dużo frajdy. To nie mycie okien. – Mrugnęła porozumie­wawczo. – Pytałam, czy masz ochotę mi pomóc, byśmy mogły chwilę poplotkować. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie cię nie widziałam. Zamykałaś się z komputerem u siebie lub pę­dziłaś do biura i tyle cię było. Stęskniłam się – zakończyła, uśmiechając się czule.

– Och, babciu… Wiesz, że miałam urwanie głowy. Znasz spe­cyfikę mojej pracy. Jako front-end developer muszę ogarniać masę spraw…

– Które są dla mnie czarną magią – dokończyła babcia. – Gdy o tym opowiadasz, mam wrażenie, że mówisz w innym języku. – Zatrzymała się na chwilę, jakby szukała w pamięci odpowiednich pojęć. – Oprogramowanie, „ajti”, „ejaj”, interfejs, kodowanie, serwis, aplikacja i… sprint. Dobrze zapamiętałam? Wiem, że coś, co kojarzy mi się z bieganiem.

Marysia roześmiała się.

– Bardzo dobrze, babciu – pochwaliła. – Pracujemy w tak zwanych sprintach. Sporo zapamiętałaś, zważywszy na to, że masz alergię na wszelkie tematy związane z nowoczesną technologią.

– Co nie oznacza, że jestem kompletną ignorantką. – Babcia dumnie uniosła brodę. – Ale rzeczywiście, prawda jest taka, że zatrzymałam się na etapie zwykłych telefonów komórkowych. To mi wystarcza. Mogę zadzwonić i porozmawiać, ostatecznie wysłać SMS-a, ale nie chcę żadnych aplikacji. To potwornie denerwujące. Wystarczy, że dziadek ma wszystkie możliwe. – Wzniosła oczy ku górze.

– Bo dziadek, w przeciwieństwie do ciebie, interesuje się każ­dą nowinką technologiczną, poznaje, próbuje… Zdaje się, że ostat­nio polubił jazdę Boltem i bawi się korzystaniem z tej aplikacji.

– I po co? – Babcia wzruszyła ramionami. – Źle było jeździć taksówką w razie potrzeby?

– Tak jest taniej i szybciej – wyjaśniła Marysia. – Poza tym, kiedy czekasz, wiesz dokładnie, gdzie jest auto, za ile minut będzie na miejscu…

– Tak, zupełnie jakby śledzić przemieszczanie się bombowca: do celu pozostały trzy minuty, dwie, jedna… już! – uzupełniła babcia z nutą sarkazmu. – No i do tego jakoś tak strasznie sucho. Jakby wiózł cię robot, a nie kierowca. Zero kontaktu. Zresztą, co tu dużo mówić? Za kilka lat pewnie kierowca nie będzie potrzebny. Auto samo przyjedzie.

– Bardzo możliwe – zgodziła się wnuczka. – Myślę, że może to nastąpić szybciej, niż się spodziewamy. I jak znam życie, dziadek będzie chciał spróbować, jak to jest. – Trąciła babcię delikatnie w bok, a potem spojrzała w stronę salonu, w którym panowała ciemność. – A właśnie. Dziadek jeszcze nie wrócił?

– Pewnie „podwiesiła” mu się aplikacja i nie może zamówić Bolta. – Babcia zachichotała i puściała oczko.

– Jesteś niemożliwa – uznała Marysia.

Starsza pani zrobiła niewinną minę.

– Żartuję – wyjaśniła. – Będzie za dwie godziny, spotkanie na uczelni się skończyło, ale poszedł z kolegami na kawę. To znaczy oficjalnie na kawę, ale jak znam życie, to kawa z kilkuprocentową domieszką. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Wiesz, jak to jest, gdy się spotka gromadka emerytów matematyków. – Westchnęła teatralnie. – Z pewnością jak zawsze będą próbowali rozwiązać jakiś dotąd nierozwiązany problem matematyczny. O przepraszam, problemat – poprawiła z uśmiechem. – Niczym profesorowie lwowskiej szkoły matematycznej przed wojną.

– W takim razie na pewno znajdą swoją Kawiarnię Szkocką – odparła Marysia.

– Bez wątpienia.

– I dziadek wróci w doskonałym humorze.

– Bo dzisiaj jest doskonały dzień.

– Tak, babciu, doskonały. Dla dziadka, dla cioci Basi i wujka Michała, dla mnie…

W tym momencie rozległ się cichy dźwięk powiadomienia z telefonu. Marysia sięgnęła do kieszeni i spojrzała na wyświetlacz.

– Antek właśnie wsiadł do pociągu. To ja będę się zbierać, babciu. Chcę być na dworcu, kiedy przyjedzie.

– Masz jeszcze sporo czasu, pociąg z Rzeszowa jedzie pół­torej godziny. Zdążysz.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Oczywiście. Będę na czas, ale pójdę na nogach.

– Na pewno? Jest mróz. Zmarzniesz.

– To tylko cztery kilometry. Przejdę się z przyjemnością. Pójdę przez Kazimierz, dawno tam nie zaglądałam. Przewietrzę głowę.

– Dawno? Zdaje się, że byłaś tam dwa tygodnie temu – stwierdziła babcia.

Marysia spojrzała wymownie.

– Dwa tygodnie to szmat czasu bez wizyty na Kazimierzu.

– To idź, pooddychaj świeżym powietrzem. Tylko nie myśl po drodze o tym, o czym masz pomyśleć jutro. – Babcia uśmiechnęła się znacząco. – Doskonały dzień, pamiętaj.

– Nie zepsuję tego – zapewniła Marysia. – Długo czekałam i ciężko pracowałam, by cieszyć się tym wieczorem. Dzisiaj Antek będzie tylko mój.

– Przyjedziecie prosto do domu?

– Ależ skąd! – zaprzeczyła Marysia. – Zabiorę go na długi spacer, może wejdziemy gdzieś na kawę lub kolację? Nie czekajcie na nas, będziemy późno.

– W takim razie bawcie się dobrze.

– Będziemy – obiecała. – Uciekam.

Marysia cmoknęła babcię w policzek i niemal w podskokach wróciła do holu, włożyła buty i zielony płaszcz, otuliła szyję ciepłym szalem, po czym wyjrzała w kierunku jadalni, pomachała babci czapką i wyszła z domu przez drzwi od strony podwórza.

Na zewnątrz robiło się szarawo, chociaż dopiero minęła piętnasta. Zimowy mrok rozpraszała biel śniegu, który skrzypiał pod nogami, gdy obchodziła budynek dookoła, by po chwili znaleźć się przed frontem wielkiego starego domu. W pewnej odległości od kamiennych schodków prowadzących do głównego wejścia znajdowały się drzwi do kwiaciarni, a po ich lewej stronie uwagę przyciągała przepiękna wystawa w zimowo-świątecznym klimacie. Marysia zatrzymała się na kilka sekund i przez chwilę spoglądała na srebrno-biały obraz za szklaną taflą.

„Ciocia przeszła samą siebie” – pomyślała.

Nacisnęła na klamkę i otworzyła drzwi do kwiaciarni Sto­krotka. Na dźwięk małego dzwoneczka informującego o po­jawieniu się klienta zza drewnianego przepierzenia wyszła kobieta w średnim wieku ubrana w czerwoną sukienkę w kratę wiązaną w pasie. Sięgające ramion jasne włosy otaczały pogod­ną twarz, którą na widok Marysi przyozdobił szeroki uśmiech.

– Witam panią pułkownikową! – zawołała dziewczyna i ukłoniła się głęboko, a potem podeszła do kobiety i uściskała ją. – Gratuluję, ciociu! Słyszałam dobre wieści. Teraz jesteś niczym Basia Wołodyjowska, ona też miała swojego pana puł­kownika i też Michała!

Ciocia Basia rozpromieniła się.

– Wiesz, Michał ma na razie podpułkownika… – wyjaśni­ła skromnie.

Marysia machnęła ręką.

– No, ale przecież oficjalnie nie mówi się do oficera w tej randze „panie podpułkowniku”, prawda? Tylko „panie pułkowniku”, więc nie ma co się rozdrabniać.

Basia pokiwała głową.

– Najważniejsze, że się udało. Długo czekał na ten awans. To wszystko kosztowało nas sporo nerwów. Do tego ta przeprowadzka. Ostatnie pół roku to prawdziwy kołowrotek. Na szczęście już po wszystkim.

– Teraz możecie cieszyć się upragnionym spokojem i delektować mieszkaniem w nowoczesnym otoczeniu. Chociaż brakuje was tutaj. Od kilku miesięcy całe pierwsze piętro stoi puste, dziadkowie na dole, ja na strychu, a pomiędzy nami cisza. – Uśmiechnęła się.

– Uwierz mi, że ja jeszcze nie przyzwyczaiłam się do tych luksusów. Po tylu latach w domu, w którym skrzypią schody, kołatają okiennice, słychać bębnienie deszczu o dachówki, gdzie co jakiś czas zdarza się zwarcie instalacji elektrycznej i zawsze trzeba mieć w pobliżu świece i zapałki, gdzie rury niekiedy wydają dźwięki niczym orkiestra przygotowująca się do koncertu… A tam? Inny świat: jasne przestrzenie, ogromne okna, inteligentne rozwiązania… Jakby całe to mieszkanie miało myśleć za nas.

Marysia zmarszczyła brwi.

– Nie podoba ci się na Rakowickiej? Przecież to przepiękne osiedle, w samym centrum! Po drugiej stronie ulicy garnizon wujka. Poza tym wiem, że „oswoiłaś” już mieszkanie po swojemu i nie jest to zimna, stalowo-szklana przestrzeń, ale pełen cudownych aranżacji, ciepły dom.

Ciocia uśmiechnęła się, słysząc pochwałę.

– Tak, tak. Zrobiłam wszystko po mojemu – potwierdziła. – Jest przyjemnie.

– To jak? Wigilia w nowym domu?

Basia pokręciła głową.

– Ależ skąd! Ten wieczór spędzimy tutaj, na Podgórzu. Nie wyobrażam sobie innego miejsca. Wiesz, że odkąd wyszłam za mąż za Michała, tylko raz w życiu jadłam kolację wigilijną w innym miejscu? I nie był to mój rodziny dom. Tam nigdy nie było, jak należy… – Zamyśliła się na chwilę, a blask jej oczu przygasł na kilka sekund. Spojrzała na Marysię i uśmiechnęła się niezgrabnie. – Przepraszam, nie powinnam o tym wspominać, nie chcę.

– Wiem, ciociu – odrzekła Marysia.

Ciocia niechętnie mówiła o swoim dzieciństwie i młodości w Nowej Hucie. Zaraz po maturze wyszła za mąż za wujka Michała i jego dom stał się jej ukochanym domem, a teściowie zastąpili rodziców, którzy nigdy nie okazywali córce miłości ani czułości. Nie pojawili się też na jej ślubie i nie interesowali się wnukami. Ze skrawków wspomnień, które czasem wymknęły się cioci, Marysia wiedziała, że Basia jako mała dziewczynka mnóstwo czasu spędzała w zaprzyjaźnionej kwiaciarni, której właścicielka poświęcała jej więcej uwagi niż mama. Obserwowała tę dobrą kobietę, a z czasem zaczęła pomagać w przygotowywaniu bukietów i dekoracji, co sprawiało jej ogromną przyjemność i pozwalało uciec od głośnych awantur lub dla odmiany grobowej ciszy własnego domu, gdy rodzice się kłócili niemal o wszystko, traktując obecność dziecka jak zło konieczne. Basia nie miała wątpliwości, że kiedy się wyprowadziła, odetchnęli z ulgą.

Marysia nie zamierzała wnikać w bolesny temat, przywoła­ła milsze wspomnienie:

– Pamiętam doskonale jedyne święta w historii rodziny, gdy dom na Podgórzu był pusty. Wtedy, gdy wszyscy przyjechaliście do nas.

– Tak, to był ten jedyny raz. A poza tym zawsze tutaj. Na Rakowickiej spotykamy się w pierwszy dzień świąt. Zapraszam oczywiście, chociaż domyślam się, że jak zawsze jedziesz do domu?

Dziewczyna pokiwała głową.

– Zgadza się. Ja odwrotnie niż ty, tylko raz spędziłam święta w Krakowie i jadłam kolację wigilijną tutaj, a poza tym zawsze u rodziców, to znaczy w domu… w moim pierwszym domu. – Uśmiechnęła się. – Bo mam przecież dwa domy, tutaj i tam.

– Oba bliskie sercu – podsumowała ciocia.

– Tak – potwierdziła Marysia. – Coś jak w piosence Mai Si­korowskiej: „Otrzymałam od losu spadek, który trudno mierzyć zerami, dwie ojczyzny… Mam dwa serca i dwie dusze, jakoś sobie z tym nadmiarem radzić muszę”. Tylko w moim przypadku to dwie małe ojczyzny. – Przewróciła oczami.

– „Tu kochany Kraków, a tam…” – zaczęła ciocia słowami piosenki, a potem dokończyła: – A tam coś innego i ktoś inny. – Uśmiechnęła się.

– Otóż to – westchnęła dziewczyna. – Trudno pogodzić to wszystko, ale stop! Obiecałam sobie, że nie będę dzisiaj o tym myśleć. Idę na dworzec. Antek przyjeżdża.

– To znaczy, że dzisiaj wszystko będzie idealnie. Twoje dwa światy razem.

– Dokładnie – potwierdziła Marysia. Założyła czapkę i wsunęła pod nią loki dotykające twarzy, reszta kręconych pasm spływała na ramiona i plecy. – Pędzę już. Do zobaczenia ciociu! – zawołała w progu. Wyszła na zewnątrz i jeszcze raz spojrzała na witrynę kwiaciarni. Odwróciła się, nacisnęła klamkę i zawołała zza uchylonych drzwi sklepu: – Wystawa jest zjawiskowa! Najpiękniejsza kwiaciarnia w Krakowie. Gratuluję pomysłu, pani pułkownikowo!

Ciocia Basia posłała jej buziaka. Marysia ruszyła odśnieżoną i udeptaną drogą, przeszła przez szeroko otwartą kutą furtkę i wyszła na chodnik. Po kilku minutach skręciła w prawo i znalazła się na Parkowej. Spojrzała w górę i przez chwilę przyglądała się ośnieżonym wieżom kościoła Świętego Józefa, które przed godziną podziwiała z okien swojego pokoju. Wzięła głęboki oddech, wciągnęła w płuca mroźne powietrze i ruszyła w kierunku kładki na Wiśle.